

KRYSTYNA
MIREK



*Tam, gdzie serce
twoje*

FILIA

ROZDZIAŁ 1

– Mam tę moc! Rozpalę to, co się tli... – śpiewała Laura drżącym z emocji głosem. Choć to była piosenka z bajki, idealnie pasowała do jej sytuacji.

Laura nieraz się zastanawiała nad fenomenem popularności tego tekstu. To było coś więcej niż tylko ścieżka dźwiękowa filmu animowanego. To ukryty manifest wszystkich kobiet, które są uwięzione i marzą, by wydostać się z pułapki.

Wyjść i zacząć od nowa.

– Mam tę moc... – nuciła coraz odważniej. – Wyjdę i zatrzasnę drzwi! – dotarła do najmocniejszego fragmentu.

To jedno się nie zgadzało. Laura zamknęła drzwi ci-chutko. Była piąta rano. Bała się, że obudzi męża. Na to słowa piosenki by nie pomogły. Jeszcze nie wiedziała, czy ma dość sił, by powiedzieć mu w oczy, co myśli. Może gdy-

by stanął przed nią, znów by się złamała i wróciła pokornie do domu?

– Nigdy więcej! – wyszeptała.

Zamknęła drzwi i stanęła na schodach wiodących do pięknej rezydencji młodego doktora Andrychowskiego, a prywatnie jej męża, po czym rozpuściła wilgotne włosy. Może to nie był najlepszy pomysł, by myć je, nie mając czasu na dokładne wysuszenie ich w ten dość chłodny poranek, ale dziś Laura nie zachowywała się jak rozsądna żona lekarza. Chciała znów być sobą. Mokre loki tylko czekały, by wypuścić je na wolność. Natychmiast zaczęły więc się niesforne we wszystkich kierunkach. Absolutnie niezgodnie z obowiązującą modą, że ładne jest to, co proste, wygładzone, przylizane.

– A guzik prawda! – wyszeptała Laura, a kręcący się wokół niej pies szczeknął z aprobatą. – Cicho, Drops! – poprosiła i spojrzała z niepokojem w okno. Solidne rolety chroniły cenny odpoczynek znanego kardiologa. Był ponoć najlepszy w Krakowie w leczeniu tego organu, a właśnie przegrywał w sercowej sprawie. Taki paradoks.

Laura po wielu ciężkich latach zebrała się na odwagę i postanowiła wyrwać z dusznej klatki, jaką stało się jej małżeństwo. Powiedzieć wreszcie „stop”.

Mocniej ścisnęła smycz Dropsa, ale nic to nie pomogło. Jej jedyny przyjaciel, uradowany z powodu nadprogramowej porannej eskapady, skakał, jakby miał dostęp do nieograniczonych zasobów energii. Ani myślał przestać.

Samochód sąsiada właśnie wyjeżdżał z garażu.

Idealna synchronizacja – pomyślała Laura. – Zamierzała skorzystać z szansy, jaką podsuwało jej życie. Złapała walizkę i włożyła pośpiesznie psa do specjalnego pojemnika. Ścisnęła mocno, po czym pobiegła w tamtym kierunku. Włosy falowały jej na wietrze.

Aniela Andrychowska, teściowa Laury, poruszyła się niespokojnie w pościeli. Śniło jej się, że idzie przez jesienny sad pełen dojrzewających jabłek. Schylała się co chwila, żeby pozbierać leżące w trawie owoce. Próbowwała utrzymać je w dłoniach, ale było ich za dużo, więc wciąż się wysypywały. Żał było je zostawić. Trudziła się tak dla synka. Pawełek rósł szybko i potrzebował witamin. Z drugiej strony długiej i szerokiej alei szedł wysoki mężczyzna, niósł kosz, chciał jej pomóc.

Spała, ale nawet we śnie wiedziała, że on nigdy do niej nie dotrze. Będzie tak szedł i szedł całymi godzinami i to się nie skończy. Nie pierwszy raz śniła jej się ta sytuacja.

Nagle zobaczyła Laurę, swoją synową. Stała pod drzewem ubrana w letnią sukienkę, promienna i szczęśliwa. Dawno jej takiej nie widziała. W pierwszej chwili nawet nie mogła jej poznać. To był w tym od lat powtarzającym się śnie zdecydowanie nowy element. I wcale jej się nie spodobał.

Aniela obudziła się z zimnym potem skroplonym na czole.

Coś się stało! – pomyślała. – Coś bardzo złego.

Spojrzała na męża, który zawinięty w kołdrę chrapał nieprzyjemnie po drugiej stronie łóżka. Stary doktor Andrychowski, nazywany tak dla odróżnienia od swojego syna i następcy, czyli młodego doktora, przewrócił się na drugi bok. Nie zamierzała go budzić. I tak nic by nie zrozumiał ani nie pomógł.

– Cichutko, kochany – powiedziała Laura, głaszcząc szalejącego Dropsa. Nie spodobało mu się, że został zapakowany do pojemnika, ale nie mógł podróżować luzem. – Uciekamy i musimy być dyskretni – pouczyła go. – Zachowywać się powściągliwie.

To były jednak chyba zbyt wysokie wymagania. Wesoly z natury kundelek o takich zachowaniach wiedział niewiele. Zwykle robił to, na co miał ochotę. Może dlatego Laura tak bardzo go kochała? On jeden był w tym wielkim domu wolną istotą. Ostatnio pogryzł teściowi najlepsze buty, a miał na sumieniu także o wiele poważniejsze przewiny. Na przykład nasikał staremu doktorowi na skarpetki. Ewidentnie nie lubił ojca Pawła i trudno się było temu dziwić. Wyrażał wprost emocje, których Laura nigdy nie miała odwagi ujawnić. Gdyby bowiem mogła, też chętnie nasikałaby teściowi do butów.

Spojrzała jeszcze raz w okno i wzięła głęboki oddech. Sąsiad właśnie otwierał bramę. Musiała biec szybciej. Nadchodził decydujący moment.

Pożegnała Pawła w myślach.

Miłość jej życia. Wymarzony mąż, którego wszyscy jej zazdrościli. Kochała go ogromnie. Czekwała aż sześć lat, by się oświadczył, choć już dużo wcześniej pragnęła założyć rodzinę, ponieważ bała się, że będzie mieć potem problemy z zajściem w ciążę. Ale dostosowała się do jego zawodowych planów. Znosiła samotne wieczory, kiedy miał dyżur, jego weekendy spędzane na konferencjach. I wiele innych rzeczy. W końcu ponoć istotą każdego dobrego związku jest kompromis. Laura stała się mistrzynią kompromisu. Wzięła go w całości na swoje barki.

Każdego dnia przeżywała upokorzenia jak tabletki na uporczywą chorobę. Gorzkie, lecz jej zdaniem konieczne. I wciąż kochała, czekała na zmianę, pielęgnowała w sobie nadzieję, a także walczyła z poczuciem, że to ona jest wszystkiemu winna. Nie spełnia oczekiwań, nie potrafi doskoczyć, jest za słaba.

Ale dzisiaj o czwartej nad ranem, o tej magicznej porze, kiedy wszystko wygląda na takie, jakie jest naprawdę, coś w niej w końcu pękło.

Podjęła decyzję.

To z tego powodu teraz prawie wbiegła pod koła samochodu sąsiada. Musiała wyglądać dziwnie. Z walizką, torbą oraz pojemnikiem, w którym piszczał pies. Włosy jej się

rozsypały, szalik rozwiązał. Zupełnie nie przypominała tej eleganckiej żony doktora, jaką znali mieszkańcy osiedla.

Samochód się zatrzymał, a Laura wpakowała się do środka.

Spojrzała na mężczyznę siedzącego za kierownicą. Miał dziwną minę.

W kategorii „najbardziej zaskoczony człowiek o poranku” sąsiad Laury miał dziś gwarantowane pierwsze miejsce.

Paweł Andrychowski spał spokojnie. Kilka godzin temu skończył ciężki dyżur i teraz ładował akumulatory przed kolejnym. Zapewne naznaczonym sukcesami, jak wszystko, co dotyczyło jego zawodowego życia.

Był najzdolniejszym asystentem ordynatora kardiologii w dużym krakowskim szpitalu, a także od jakiegoś czasu sakramenckim bucem. Wprawdzie tego drugiego faktu nie zanotowano na piśmie oraz nie oprawiono potwierdzenia w ładną ramkę, ale rzucał się w oczy równie mocno, co pierwszy.

Właściwie obie te ścieżki jego życia rozwijały się jednocześnie. Paweł zaczynał jako młody student medycyny, który uczył się pilnie, bo pragnął zmieniać świat na lepszy. Służyć ludziom. W miarę jak rozkręcała się jego kariera, rosła też pewność siebie, potem pycha, by w końcowej fazie przemienić się w skrajną arogancję.

Kariera i bycie palantem splatały się w jego życiu na każdym kroku. W sferze zawodowej i prywatnej.

Nad oboma tymi ważnymi aspektami intensywnie pracował jego ojciec. Waław Andrychowski, z wykształcenia również lekarz, obecnie emerytowany, od początku kierował karierą syna, dumny z jego osiągnięć tak, że ledwo łapał oddech, gdy o tym opowiadał. Na każdym roku podkreślał, że Paweł jest kimś więcej niż zwykli śmiertelnicy. Zasługuje na najwyższy podziw, poklask, wręcz uwielbienie. Budował jego pychę systematycznie i skutecznie.

Laura nie wiedziała, kiedy Paweł uwierzył nie tylko ojcu, lecz także wielu innym otaczającym go osobom: pielęgniarkom, pacjentom, ich rodzinom, studentom. Wszystkim, którzy go chwalili, łapali się jego dłoni na szpitalnym korytarzu jak ostatniej deski ratunku. Patrzyli na niego z nadzieją i podziwem. W swoich dłoniach trzymał los ich bliskich. Zmiana nie przysła z dnia na dzień. Następowwała stopniowo. Aż stała się niemożliwa do zatrzymania.

Paweł powoli doszedł do wygodnego wniosku, że świat stworzono po to, by on mógł na nim spełniać swoje zachcianki. A wszyscy ludzie żyją wyłącznie dlatego, by mu w tym pomagać. Nie zdawał sobie z tego sprawy, oburzyliby się, gdyby ktoś mu o tym powiedział, ale podświadomie tak właśnie czuł. A ponieważ na tym świecie niczego tak naprawdę nie da się ukryć, więc te myśli wydostawały się na zewnątrz w postaci pogardliwych

słów, spojrzeń, wydawanych rozkazów i roszczeniowej postawy wobec życia.

Jemu się należało i bardzo się denerwował, gdy się okazało, że czegoś jednak nie może dostać.

W pracy wszystko chodziło jak dobrze naoliwiona taśma produkcyjna. Bez zarzutu. Tylko w domu się sypało. Dlaczego? Tego nie rozumiał. Zawodowo mógł sięgać wysoko i los stał po jego stronie. Prywatnie nie mógł spełnić najbardziej podstawowych marzeń.

Wściekało go to, napełniało goryczą i złością.

A miało być jeszcze gorzej.

Spał i nie wiedział, że życie zamierza go znacznie mocniej zaskoczyć. Właśnie odbiera mu coś, co uważał dotąd za swoją naturalną własność.

A wszystko to wydarzyło się dlatego, że Laura obudziła się dzisiaj o czwartej nad ranem. O tej okropnej godzinie, kiedy człowieka dopadają najgorsze smutki, a wszelkie mechanizmy obronne zdają się nie działać.

Chwilę później siedziała na brzegu wanny. Nie mogła spać. Czuła charakterystyczny ból w dole pleców. Jeszcze był cichy. Pulsował tylko delikatnie. Ale znała go. Wiedziała, że wystarczy wrócić do łóżka, zasnąć, a on znów przyjdzie i po raz kolejny zniszczy wszystkie jej marzenia.

Nie miała siły sprostać nadchodzącemu porankowi. Paweł już od kilku dni patrzył na nią z wyraźnym

oczekiwaniem. Wiedziała, że w coraz większym napięciu oczekuje odpowiedzi. Starał się nie nękać jej ciągłymi pytaniami, ale i tak świeciły mu się one na czole niczym świąteczny neon.

Za to teść nie bawił się w takie delikatności. Dzwonił po kilka razy dziennie i wypytywał, jak się Laura czuje. Nie chodziło mu oczywiście wcale o nią. Jej dobro, zdrowie oraz samopoczucie to były ostatnie sprawy, jakimi się interesował. Pragnął wyłącznie wnuka.

Laura zadrzała. Na samą myśl, że za kilka godzin znów będzie musiała stawić czoła zarówno mężowi, jak i teściowi, zobaczyć w ich oczach to cholerne rozczarowanie, które znała tak dobrze, że mogłaby narysować, cierpła jej skóra. Znów zabolalo w dole pleców.

Zaczerpnęła mocno powietrza.

– Trzeba oddychać – powtarzała sobie. – To pomaga.

Ale jej nie pomogło. Może zawinił brak przekonania? Serio trzeba oddychać? A po co? Teraz o czwartej nad ranem nie znajdowała na to pytanie żadnej dobrej odpowiedzi. W domu było cicho. Paweł odsypiał ciężki dyżur. Tylko że w końcu się obudzi. Dziś miał wolny dzień. Dużo czasu na baczne przyglądanie się żonie, zadawanie dyskretnych w jego mniemaniu pytań, poszukiwanie pierwszych objawów. Może była przewrażliwiona, ale czuła te ukryte działania w każdym jego słowie i geście.

Najgorsze było jednak niewypowiedziane oskarżenie.

To twoja wina! Jesteś moim największym rozczarowaniem!

Paweł nigdy wprost tego tak nie ujął. Ale też nie zrobił niczego, by ją przekonać, że myśli inaczej. Za to teść wyrażał się bardzo jasno. W gruncie rzeczy to było i tak bez znaczenia. Wszyscy myśleli jednakowo. Cała rodzina Andrychowskich.

Laura, ich zdaniem, nie miała nic do roboty. Tylko być dobrą żoną i urodzić dziecko. W zamian dostała wszystko. Wspaniałego męża, dom, utrzymanie, prestiż społeczny, drogie wakacje, odpowiednich znajomych oraz wszelkie rozrywki, jakich tylko by sobie życzyła. Na początku miała nawet miłość. Pakiet idealny.

Tuż po ślubie była bardzo szczęśliwa.

Ale czas płynął. Oczekiwania starej lekarskiej rodziny rosły. Rodzice Pawła mieli tylko jednego syna i pragnęli teraz gromady wnuków. Oferowali wszelkie wsparcie. A przynajmniej tak im się wydawało. Istniały bowiem sztywne granice, których nie wolno było przekraczać. Na przykład wspominać o badaniach Pawła.

On sam też reagował na taką propozycję wielkim oburzeniem.

– Chyba oszalałaś! – Słyszała za każdym razem, kiedy go o to prosiła. – Mam się spuszczać do próbowki?! To poniżające. Może jeszcze w moim szpitalu, żeby pielęgniarki miały ubaw?! Jestem lekarzem, sam się potrafię zbadać! – wołał ze złością. – Wiem, że jestem zdrowy. Lepiej ty idź do specjalisty.

Chodziła. Jeździła. Zapisywała się. Do wszystkich najlepszych w kraju. Nic nie pomagało. Była zdrowa, a na to nie ma lekarstwa.

Starali się o dziecko od dziesięciu lat i chyba wreszcie należało spojrzeć w oczy brutalnej prawdzie, że już im się nie uda. Cała rodzina Pawła i on sam obarczyli za to pełną odpowiedzialnością Laurę. Nie umiałyby już dzisiaj zliczyć wszystkich przepłakanych początków cyklu, które zaczynały się krwawym bólem. Śniadań pełnych napiętego milczenia, zaciśniętych ust męża.

Komentarzy teściowej, że biedaczek Pawełek, wiecie, on to nie ma po co wracać do domu. Żadnej tam radości, śmiechu dzieci, perspektyw na przyszłość. Dla kogo on, taki wspaniały, ma pracować?

Aniela Andrychowska nie zdawała sobie sprawy, jak okrutne to słowa. Jakby Laura była nikim. Małżeństwo bez dzieci nie stanowiło żadnej rodziny. Żona była zaledwie prochem niewartym strzepnięcia. Fakt, że ona czekała na męża, nie miał żadnego znaczenia. Dla niej nie warto było pracować, ich związek był nicością. Opcja, by zbudować dobre życie we dwoje, nie istniała.

Widać to było w każdej serii ostrych uwag teścia, że kobiety mogą się, jasna sprawa, emancypować, jeśli już koniecznie tego chcą, ale, do licha, nie zmienia to faktu, że ich podstawowym obowiązkiem jest stworzyć dom i urodzić dzieci.

Nie przejmowałyby się tym tak bardzo, gdyby czuła, że ojciec Pawła mówi wyłącznie w swoim imieniu. Ale mąż

nigdy nie stanął w jej obronie, robił tylko głupie miny, uśmiechał się bezsensownie, a czasem nawet dolewał oliwy do ognia. Zwłaszcza kiedy wypił o dwa piwa za dużo lub kilka kieliszków ulubionej brandy.

Myślał tak samo jak jego ojciec, to nie ulegało wątpliwości.

Przytaknął mu ostatnio na rodzinnym grillu. Niby rozmowa dotyczyła kobiet w ogólności, ale przecież wiadomo było, że ma czytelny podtekst.

– Są sprawy na niebie i ziemi, które się nie zmieniają! – wymądrzał się teść. – Chłop sam dziecka nie urodzi. Wiadomo. Więc żona powinna się zabrać do roboty.

A szczególnie taka, co to wszystko dostała na tacy – tego zakończenia łatwo się było domyślić. Ich piękny dom wybudowali rodzice Pawła, auto kupił mąż, on też finansował zdecydowaną większość rodzinnych wydatków. Laura wprawdzie pracowała, ale jak to określał starszy pan Andrychowski, obrazując sprawę pełnym lekceważenia machnięciem dłoni, cóż to była za robota, bardziej hobby.

To prawda, przy naukowych i medycznych osiągnięciach Pawła sprzedawanie biżuterii w malutkim sklepie jubilerskim mogło się wydawać niczym. Nie była tam właścicielką ani nikim ważnym. Nie miała też żadnej możliwości awansu. Lubiła jednak swoje zajęcie. Klientów i piękne przedmioty, które starannie i ze smakiem układała w gablotach. A także swoją szefową. Pełną taktu starszą panią. Choć

trzymała dystans, była dla Laury jedyną życzliwą osobą na całym świecie.

Praca stała się dla Laury wytchnieniem i ucieczką. Tam też jednak dopadały ją domowe smutki.

Ile razy łyzy kapały na szklane podstawki? Jak często nielegalnie ocierała oczy szmatką do polerowania srebra? To wiedziała tylko ona. Jak bolesny był ten ścisk w sercu, gdy do sklepu wchodziły mamy z dziećmi. Rozdzierająca tęsknota, gdy szła ulicą i wszędzie widziała wózki. Ale najgorsze to potępienie w oczach najbliższego człowieka. Totalny brak wsparcia i zrozumienia. Paweł z coraz większym trudem trzymał nerwy na wodzy. Czuła, że dziś wykrzyczy jej to prosto w twarz. Że jest jego największym rozczarowaniem. To wszystko jej wina.

Jak mawiał teść przy każdej okazji, młody zastępca ordynatora ma w szpitalu dziesiątki dziewczyn. Młodych, zdrowych, a co najważniejsze chętnych, by dać mu dzieci i stworzyć wreszcie prawdziwą rodzinę. Ta bowiem, którą miał, najwyraźniej była do niczego, tylko na próbę. Jak brudnopis, który wstyd komukolwiek pokazać.

Laura wyobrażała sobie, co stanie się dzisiaj. Nietrudno było to przewidzieć. Zainwestowali ostatnio w bardzo drogie zastrzyki. Koledzy Pawła ściągnęli je z jakiejś zagranicznej kliniki. Płatne w dolarach, magiczne, hormonalne чудо. Ale jak widać, nie podziałało. Ból w plecach się nasilał i już zaczynał przechodzić na brzuch. Był dwudziesty ósmy dzień cyklu. Jej system działał jak w zegarku, a jednak nieskutecznie.

– Ja bym dla dziecka zrobiła wszystko! – powiedziała jej kiedyś teściowa.

Nie była to życzliwa rada ze strony kogoś, kto pragnie tego samego. Raczej pretensja, że synowa za mało się stara. Choć naprawdę nikt już nie miał pomysłu, co jeszcze Laura mogłaby zrobić. Godziła się przecież na każdą terapię. To jej mąż odmawiał wsparcia, ale do niego nikt nie miał pretensji.

Teoretycznie matka Pawła powinna ją rozumieć. Anieli Andrychowska przeszła przez to samo. Też kilka lat starała się o ciążę i również była poddana mocnej presji ze strony swoich teściów. Mieli tylko Pawła, choć Laura wiedziała, że oboje chcieli więcej dzieci. Anieli musiało być trudno. Mimo tego nie okazywała swojej synowej żadnego wsparcia. Nie mówiła wiele – w przeciwieństwie do teścia. Zwykle podczas rodzinnych uroczystości siedziała przy stole i milczała. Ale w jej zaciśniętych ustach było tyle nagany i rozczarowania, że raniła równie mocno jak za pomocą słów. Patrzyła intensywnie w taki dziwny sposób. Jakby cały czas starała się coś przekazać, a Laura nie umiała tego odczytać.

Wszystko to byłoby jednak niczym, gdyby stanowili z Pawłem jedność. Wspólnie stawiali temu czoła. Tylko że on, choć skończył medycynę i miał w planach doktorat, uważał, że ciąża to kobiecy problem. W głowie się nie mieściło, że lekarz może mieć takie poglądy. Ale tak właśnie było. On, jaśniepan, zastępca ordynatora, nie raczył się nawet przebadać. Nie pobrał próbek. Nawet chodzenie

z żoną na wizyty w takiej sprawie uważał za ujmę dla swojej męskości. Co innego, gdyby zaszła w ciążę, wtedy by jej z dumą towarzyszył. Wysłuchiwanie jednak od innych specjalistów, z pewnością słabszych niż on sam, którzy tłumaczyli mu, jak ma uprawiać seks, żeby zwiększyć szanse lub wymądrzali się na temat trybu życia, to było dla niego za wiele.

Cała odpowiedzialność za leczenie spadła na Laurę. To ona leżała w gabinetach z rozłożonymi nogami i nikt się nie zastanawiał, czy to dla niej komfortowe, nikt jej nie doceniał ani nie współczuł. Brała tabletki hormonalne z listą skutków ubocznych długą jak litania do najbardziej opornego świętego, robiła testy owulacyjne. Przeszła operację udrożnienia prawego jajowodu. Na inseminację Paweł się nie zgodził. To też było dla niego zbyt upokarzające. Za to Laura pilnie się szkoliła z naprotechnologii, która wobec jej problemów okazała się równie nieskuteczna jak wszystkie inne metody. I co miesiąc połykała w łazience łyż.

A potem udawała, że się trzyma. Walczy i ma nadzieję.

Dzisiaj też tak miało być. Zaplanowała, że usiądzie przy stole i będzie się starała opanować zdenerwowanie. Nie wywołać karczemnej awantury, która tylko wyczerpywała energię, a niczego nowego nie wносиła. Oboje z Pawłem znali już wszystkie swoje żale na pamięć. Wygłaszanie ich na nowo nie miało żadnego sensu.

Jeśli po ciężkim poranku zostanie jej jeszcze odrobina energii i życiowej siły, to pewnie zużyje się podczas kolacji

z teściami. Rodzice Pawła wprosilili się do nich na dzisiejszy wieczór sami. Znali jej cykl równie dobrze jak ona sama. Wiedzieli, że się właśnie kończy. I byli ciekawi. Tak mocno, że zapewne od pierwszej chwili, gdy przekroczą próg, będą się wpatrywać w jej twarz i szukać oznak. Smutku lub radości. Przebierać nogami z przejęcia. Rzucac aluzjami, że są testy, które wykrywają nawet bardzo wczesną ciążę. Teść z pewnością jeden taki będzie miał ze sobą. Jak nie więcej. Każą jej iść do łazienki i zrobić go na wszelki wypadek.

A Paweł zamiast wyrzucić ich wszystkich za drzwi z hukiem, obronić żonę, postawić jasne granice prywatności, powiedzieć, że we dwoje też można żyć, są różne drogi do wyboru, będzie siedział przy stole, robił głupie miny i dawał do zrozumienia, jak bardzo czuje się rozczarowany taką żoną. Jakie to dla niego poświęcenie trwać przy niej.

– Nie wytrzymam tego! – powiedziała Laura. Pierwsze czerwone kropki pojawiły się jej na bieliźnie.

Jednak tym razem nie były oznaką kłęski, lecz zmiany.

ROZDZIAŁ 2

– Czy może mnie pan kawałek podrzucić? – zapytała Laura, która gdy zamknęła za sobą drzwi samochodu, z całą mocą poczuła niezręczność sytuacji. Zdenerwowała się tak bardzo, że zaczęły jej się trząść ręce.

– Oczywiście – odparł sąsiad ze spokojem w głosie, po czym spojrzął na nią z życzliwością, jakiej się nie spodziewała. Jakby wszystko rozumiał. – Dokąd chce pani jechać? – zapytał.

– A jak daleko pan się wybiera? – Spojrzała na niego czujnie. Nawet nie wiedziała, jak on ma na imię. Nie utrzymywała bliskich kontaktów z sąsiadami. Zbyt była zajęta mężem, staraniami o dziecko, pracą i dopieszczaniem wiecznie niezadowolonych teściów. Kojarzyła go oczywiście. Mówili sobie grzecznie „dzień dobry”, jeśli gdzieś się spotkali, ale okazji nie było zbyt wiele. Każdy był zajęty. W okolicy mieszkało tylu ludzi, niektórzy

bardzo blisko. Większości Laura nie znała nawet z widzenia.

Najbliższego sąsiada niekiedy widywała przez okno. Z wysokiego piętra można było obserwować wejście główne do jego domu, a także ogród. Czasami nawet przypadkowo przechodząc korytarzem, spoglądała w tamtą stronę, choć niewiele się działo. Sąsiad mieszkał sam i często przebywał poza domem. Paweł go lubił, bo był niewidoczny, cichy i bezproblemowy.

– Jadę do Sopotu – powiedział mężczyzna. Miał poważną minę i spojrzenie, jakby rozumiał, że to, co się dzieje, nie jest zwykłą błażostką. Laura nie potrzebuje, by ją podrzucić do sklepu po bułki.

– Doskonale – powiedziała i zapięła pas. – Znam to miasto jeszcze z czasów dzieciństwa i zawsze sobie obiecywałam, że kiedyś tam wrócę. To idealna okazja. Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.

Głos jej drżał, a ręce się trzęsły. Nawet Drops wyczuł, że nie ma żartów i przestał się kręcić oraz piszczeć.

– Mam na imię Błażej – przedstawił się sąsiad.

– Laura. – Podała mu dłoń.

– Wiem – powiedział i uśmiechnął się ciepło. – Choć nigdy nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać.

– Takie czasy – westchnęła Laura. – Ludzie mieszkają o krok od siebie i wcale się nie znają.

– Moim zdaniem winne są stale otwarte sklepy. – Uśmiechnął się.

– A to dlaczego? – zapytała.

– Nikt nie ma potrzeby pożyczyć soli ani cukru – odparł. – Każdy wsiądzie w samochód i sam sobie poradzi. To wygodne, ale bardzo osłabia więzi międzyludzkie.

– Zgadzam się – odparła Laura nieco nieuważnie. Zerknęła czujnie w okna sypialni. – Czy możemy już jechać? – zapytała, a zdenerwowanie opanowało ją na nowo.

– Jeśli jesteś pewna, to ja ruszam. – Spojrzał na nią jeszcze raz, po czym zamknął bramę pilotem i dodał gazu, wyjeżdżając na drogę.

Zapanowała konsternacja. Teraz w normalnej sytuacji nastąpiłyby jakieś wyjaśnienia, ale Laura zupełnie nie wiedziała, od czego mogłaby zacząć. Tylko Drops nie miał kłopotów. Znów wiercił się i poszczekiwał, ale jako jedyny sprawiał wrażenie zupełnie niezaskoczonego i nawet zadowolonego z obrotu spraw.

Błazej minął dom Laury. Delikatny szum opon samochodowych nie obudził jej męża.

Czasem bardzo ważna życiowa zmiana zaczyna się cicho. Od pozornie nic nieznaczącego dźwięku. Dyskretny szcęk zamykanej bramy, szmer kół na asfalcie. Paweł spał. Nie był świadomy, że z wielkiej, imponującej budowli, jaką było jego życie, ktoś właśnie wyjął jedną cegielkę z fundamentu i to powoli sprawi, że nic już od tej pory nie będzie jak dawniej.

ROZDZIAŁ 3

Alfred Zwoliński siedział na rozległym tarasie i patrzył na morze. Była czwarta nad ranem. Zapewne najgorsza pora, by w zimie podziwiać horyzont. Porywisty wiatr przenikał nawet ciepłą kurtkę. Alfred miał wrażenie, że jest sam na świecie. Jakby front burzowy zmiotł wszystkich innych ludzi nie tylko z jego ukochanego Sopotu, lecz wręcz całego świata. Był przekonany, że nikt prócz niego nie zmaga się teraz z poważnymi życiowymi decyzjami.

Oczywiście było wiele lepszych miejsc na takie obrachunki. Na przykład jasna zaciszna sypialnia z wielkim oknem dachowym, przez które nocą widać gwiazdy. Albo przytulny salon. Z kanapy rozpościerał się widok na morze, równie imponujący jak ten z tarasu. A na kominku przez większą część roku płonął ogień. Ciepły, złoty, trzaskający aż miło.

Sam kominek był wyjątkowy. Alfred zrobił go własnymi rękami. Nie w prosty sposób poprzez zakupienie

materiałów w pierwszym lepszym sklepie budowlanym, lecz układając pracownie kamienie, które sam zdobywał i przynosił, przetykane prawdziwymi bursztynami. Nikt nie miał takiego.

Koledzy śmiali się z niego, straszili, że zastygła żywica stopi się pod wpływem ciepła, że to głupota używać tak cennego kruszcu do dekoracji. Ale Alfred nie żałował. Zrobił to dobrze i wiele lat cieszył oczy, a także serce pięknem tego miejsca. A bursztynu miał sporo. Nie musiał na nim oszczędzać.

Lubił swój dom ponad wszystko.

To miejsce pod każdym względem stanowiło jego spełnione marzenie. Budynek położony był na klifie, miał drewniany taras i przepiękny niczym nieograniczony widok na pełne morze. Codziennie rozgrywał się tutaj niebiletowany spektakl wschodów i zachodów słońca. Alfred zawsze dostawał najlepsze miejsce w pierwszym rzędzie.

Ta posiadłość była teraz wiele warta, regularnie otrzymywał ciekawe oferty od chętnych, by ją przejąć, ale przecież nie sprzedaje się marzeń. Nie był bardzo zamożnym człowiekiem, w Sopocie setki innych zrobiło większą karierę. Ale jemu udały się dwie ważne rzeczy. Wyłowił z Bałtyku najwspanialsze złożo bursztynu, a także wybudował ten dom. Poza tym wszystko przegrał, ale o tym nie miał zwyczaju myśleć. Kiedy siedział na swoim tarasie, wspominał tylko pierwszą część pewnej burzowej, zimnej nocy, kiedy podczas sztormu, ryzykując życiem, zdobył prawdzi-

wy skarb. Cały kłęb zielska, a wśród zielonych oślizgłych kłaczy złożę kamieni. Polskiego złota, magicznego jantaru, obdarzonego zdrowotną mocą bursztynu. Bardzo cennego kruszcu.

Jego ojciec na taki łut szczęścia bezskutecznie czekał całe życie. Stał po pas w zimnej wodzie, nocami łowił. Zrywał się bladym świtem, by się zanurzać w lodowatych odmętach. Znosił smaganie posztormowych wiatrów. Miesiącami i latami wybierał z glonów, piasku oraz szczątków ryb małe kamyczki zastygłej żywicy. Po to, by utrzymać rodzinę, ale też z powodu pasji. Ojciec kochał bursztyn i marzył, że kiedyś uda mu się wydobyć coś wyjątkowego.

Alfred zawsze uważał, że tata kocha swoją pracę bardziej niż jego. Dlatego w tym ważnym momencie zabrał swoje znalezisko, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł. Nie potrzebował już ojca. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Nagle teraz zatęsknił. Poczuł ogromny żal, że wtedy, wiele lat temu, nie cieszyli się razem. Nie pozwolił, by sukces stał się wspólny. Dziś zrobiłby to inaczej. Zorganizował kolację z pysznym jedzeniem i muzyką. Zadbał, by w kominku płonął ogień. Radości starczyłoby przecież dla wszystkich. Tata też mógł się cieszyć. Ale to Alfred zrozumiał dopiero dzisiaj. Wtedy schował swój skarb i swoją radość do pilnie strzeżonego sejfu w banku. A ten był tak szczelny, że nawet jeden okruszek szczęścia nie dostał się na zewnątrz i nie trafił w niczyje ręce.

Alfred westchnął.

Ta jedna noc dawno temu finansowo ustawiła go na lata. Wciąż czerpał z tych zapasów.

Ale też wtedy właśnie został sam. Tamtego poranka, gdy wrócił zmachany i przemarznięty do domu, nie zastał w nim już żony ani dzieci. Głupia kobieta odeszła, zostawiając wszystko, co jej ofiarował. Bezpieczne życie, stały związek. Wiele lat czerpał satysfakcję, wyobrażając sobie, jak ciężkie jest zapewne teraz jej życie. Jak się męczy sama z dwójką dzieci. Ilekroć widział gdzieś w galerii handlowej płaczące dziecko, myślał o niej. Że musi się z tym borykać bez pomocy kogokolwiek. Pewnie nie starcza jej na podstawowe potrzeby, pracuje ponad siły i na wszystko brakuje jej pieniędzy. Płacze wieczorami w samotności, a w weekendy pada na twarz ze zmęczenia. Żałuje swojej decyzji. Dzieci nie stanowią dla niej nagrody za trud, bo przecież wychowane bez ojca na pewno sprawiają kłopoty.

A mogła mieć łatwiej.

Owszem, zdradził ją raz czy dwa. Ale zawsze dyskretnie. Jak dżentelmen, by żona nie musiała się wstydzić na mieście. Jakoś się jednak dowiedziała i zrobiła ze sprawy ogromną aferę. Dostał wtedy cios w samo serce i już nawet nie próbował nikogo pokochać.

Nigdy też nie szukał swojej rodziny, choć bardzo często o nich myślał.

Alfred westchnął. Słońce niedługo wzejdzie łagodnie tą samą co zawsze ścieżką po niebie. Była czwarta nad ranem.

Zimno. Ale on nadal siedział na tarasie. Już nic nie mogło mu zaszkodzić. Był chory. Diagnoza wstrząsnęła nim i rzucała o ziemię jak szmacianą lalką.

Miał umrzeć, choć przecież jeszcze nawet na dobre nie zaczął żyć.

ROZDZIAŁ 4

Jechali w milczeniu, a słońce powoli wznosiło się ponad horyzont. Wstawał mroźny, ale piękny dzień. Dobry, by wreszcie zrobić pierwszy krok we właściwym kierunku. Tylko gdzie on jest? Tego Laura jeszcze nie wiedziała.

Na razie zwyczajnie cieszyła się drogą w poczuciu absolutnej wolności. Nic jej przecież nie ograniczało. Nie miała dzieci, za które byłaby odpowiedzialna. Pracę mogła bez trudu rzucić i znaleźć nową. Jeśli nie ma się wygórowanych potrzeb i rodziny na utrzymaniu, nie stanowi to szczególnego wyzwania.

Dotarli do skrzyżowania. Błażej kilkakrotnie pytał, czy się nie rozmyśliła. Może gdzieś ją bliżej podwieźć?

Zatrzymało ich czerwone światło, a on znów spojrzął, jakby dawał jej szansę na zmianę zdania. Mógł jeszcze zawrócić, skręcić w dowolnym kierunku. Ruch był o tej porze niewielki. Wybór należał do niej. I to właśnie okazało się

trudne. Zaczęła się zastanawiać, czego by chciała. Ale do tego stopnia odwykła od takiego myślenia, że mózg nie mógł sobie z tym wyzwaniem poradzić. Przez tyle lat jej największą troską było spełnianie oczekiwań innych. Teściów, męża, znajomych Pawła, którzy po żonie lekarza spodziewali się określonych cech i zachowań. Starła się sprostać tym wszystkim wymaganiom. Z miłości, a także dla dobra swojego małżeństwa. Długo godziła się na wszystko.

Jednak była kimś więcej niż tylko inkubatorem do sprowadzania z zaświatów wnucząt, które miały za zadanie przedłużyć ród Andrychowskich. Była wolną istotą z prawem do szczęścia. Na długi czas jednak o tym zapomniała. Pozwoliła sobie wmówić, że jest inaczej.

I teraz nie potrafiła znaleźć żadnej odpowiedzi na pytanie, czego w życiu pragnie. Kim jest w głębi serca? Jakie ma marzenia, prócz tego jednego o dziecku, które najwyraźniej nigdy miało się nie spełnić. Na razie jechała w milczeniu. Z zadowoleniem przyjęła fakt, że Błażej skręcił w stronę autostrady.

To chyba intuicja. Dowód, że pragnęła większej zmiany. Nie drobnego gestu. Wyjazd za miasto mógł się okazać niewystarczający. Tu potrzebna była o wiele znacznie większa odległość. Laura musiała spojrzeć z dystansu, by znów odnaleźć siebie.

Sopot był na to odpowiednim miejscem, choć znajdował się daleko i stał się kierunkiem z przypadku. Wybrany przez Błażeja.

Przypomniało jej się, że kiedy była małą dziewczynką, pojechała raz z rodzicami nad morze. Do Sopotu właśnie. Skromne to były wakacje, w tanim pensjonacie ze skrzyżniętymi łózkami i niedomykającym się oknem. Ale jeszcze wtedy byli wszyscy razem. Mama, tata, oboje przed rozwodem, i brat, który kilka lat później wyjechał na stypendium do Stanów, by już nigdy nie wrócić do kraju.

Laura pamiętała smak jagodowych lodów, gęstej zupy kalafiorowej z baru mlecznego i słonej morskiej wody. A także wszechobecne pełne pokus kramy, które rodzice mijali zawsze z tym samym komentarzem, żeby nie nudzić, bo nie mają pieniędzy na takie głupoty.

Ale przecież żadnych głupot tam nie było. Sześciolatnia Laura widziała same cuda. Kolorowe lizaki, dmuchane baloniki, watę cukrową na patyku, długasne zapiekanki i przede wszystkim pierścionek z bursztynem. Srebrny klejnocik, który zerkał na nią każdego dnia, gdy mijali jeden ze straganów w drodze na plażę. Nigdy nawet nie wzięła go do ręki i może dlatego urósł w jej pamięci do rangi symbolu. Czegoś niebywale pięknego. Już wtedy uczono ją rezygnować z marzeń, a nawet potrzeb.

Bo zawsze były większe zmartwienia.

Na przykład rozwód rodziców, który stał się tak wielką traumą, że potem Laura gotowa była na wszystko, byle tylko ocalić własne małżeństwo. Godziła się na kolejne kompromisy, znosiła upokorzenia, bo nie chciała jeszcze raz przechodzić przez ten koszmar.

Albo samotne macierzyństwo niezaradnej matki, która ciągle mówiła: nie ma i nie będzie nas stać. Na ubrania, na studia, na wyjazd, lekcje angielskiego, prezent urodzinowy. Prawie na wszystko. Rezygnowanie stało się drugą naturą Laury. Nauczono ją, że tak trzeba. To sprawiło też, że jako młoda dziewczyna bardzo podziwiała Pawła i jego bliskich. Byli dla niej niczym mityczni tytani. Bo oni jednak dali radę. Mieli w sobie siłę i moc. Umieeli zadbać o potrzeby rodziny. Ochronić się.

Może gdyby wtedy tata pozwolił jej głośno wypowiedzieć prośbę i kupić ten pierścionek, byłaby silniejsza? Nauczyłaby się, że jej potrzeby też są ważne? A może nie? Zapomniałaby o tym i mimo wszystko poszła tą samą drogą? Jedno wydarzenie nie wystarczy przecież, by się nauczyć żyć.

Ale to był ten pierwszy raz, do którego sięgała pamięcią, kiedy się zgodziła ustąpić. Zrezygnować z małego marzenia. Potem nastąpiły takich sytuacji tysiące.

Teraz więc, kiedy mogła wybrać, postanowiła wrócić do tego symbolicznego drobiazgu. Zdarzenia, na które nikt inny może nie zwróciłby uwagi, ale dla niej było ważne. Oczywiście mogła sobie kupić pierścionek z bursztynem gdziekolwiek. Choćby i w sklepie, w którym pracowała. Szefowa bez problemu sprowadziłaby dla niej coś ładnego w hurtowej cenie. Tylko że nie o to chodziło.

Laura czuła, jak drżą jej dłonie, kiedy poprawiła pas, i ostatni raz odpowiedziała na pytanie, czy naprawdę

chce jechać tak daleko. Sopot. Koniec lutego nie jest wymarzoną porą, by się wybierać w tamte strony. Ale ona nie podróżowała tam dla promieni słońca, lecz pokazania sobie i innym, że potrafi zbudować dobre życie. Także sama. Też ma coś do zaoferowania, choć nie jest to ani dyplom wyższej uczelni, ani odziedziczone po rodzicach pieniądze.

Nie była pewna, czy ma rację. Wciąż drżały jej kolana i nie mogła się rozgrzać, mimo że włożyła najcieplejszą kurtkę. Zawsze było jej zimno, gdy się denerwowała. Parę razy miała ochotę wysiąść i zawrócić. Jeszcze mogła. Nikt by się nie zorientował. Paweł zapewne wciąż spał. Pokusa była silna, ponieważ Laura nie miała cech urodzonego buntownika. Ta decyzja wiele ją kosztowała. Ale wiedziała, że jeśli teraz ustąpi, zostanie w klatce na zawsze.

Spojrzała przed siebie.

Autostrada ciągnęła się aż po horyzont niczym pas startowy, po którym można ulecieć w nowe życie. Laura po raz pierwszy poczuła, jak to jest, gdy człowiek naprawdę rusza w drogę. Jakby wsiadł do jakiegokolwiek pociągu pod wpływem impulsu na spotkanie z przygodą. Lekki, wolny. Niczego nie musi i wcale go nie obchodzi, co inni sobie pomyślą.

Oni śpią. A ona już nie była częścią ich życia. Pędziła ku wschodzącemu słońcu, a muzyka sprawiała, że miała wrażenie, że za chwilę uleci w powietrze, by jednym ślizgiem znaleźć się na plaży.